

SCENARIUSZ

106 | 1308

MYSZKIN: Może przyszedłem nie w porę, to pójdę.

ROGOŻYN: W porę! W porę! Proszę cię bardzo, wejdź! Czego mi się tak przyglądasz? Siadaj!

MYSZKIN: Wiedziaks, że dziś przyjadę, czy nie?

ROGOŻYN: Że przyjedziesz, to sobie myślałem, no i jak widzisz, nie omyliłem się. Ale skąd mogłem wiedzieć, że przyjedziesz dzisiaj?

MYSZKIN: A gdybyś nawet wiedział, że dzisiaj, to po co się tak złościć.

ROGOŻYN: A po co pytasz o to?

MYSZKIN: Wychodząc z wagonu zobaczyłem parę takich samych oczu, jakimi przed chwilą popatrzyłeś na mnie z tyłu.

ROGOŻYN: Oho! A czyje to były oczy?

MYSZKIN: Nie wiem, nawet myślałem, że to mi się przywidziało w tłumie, wciąż mnie prześladowają jakieś majaki. Czuję się teraz prawie tak, jak przed pięciu laty, kiedy miewałem jeszcze paroksyzmy.

ROGOŻYN: Może i przywidziało się, nie wiem... A pamiętasz jakeśmy razem jechali pociągiem, ja tutaj, a ty... w takim płaszczu, pamiętasz w kamazkach? No co, znowu za granicę?

MYSZKIN: Osiedliłeś się tu na dobre?

ROGOŻYN: Tak, jestem u siebie. A gdzie mam być?

MYSZKIN: Słyszałem o tobie takie rzeczy, jakbyś to nie był ty, ale ktoś inny.

ROGOŻYN: Czego to nie gadają.

MYSZKIN: Dom jest wyłącznie twój?

ROGOŻYN: Dom jest matki, idzie się do niej tędy, po schodach.

MYSZKIN: A gdzie mieszka twój brat?

ROGOŻYN: W oficynie. Po co ci te wiadomości?

MYSZKIN: Idąc tutaj do ciebie od razu poznałem twój dom... już na odległość stu kroków.

ROGOŻYN: Dlaczego?

MYSZKIN: Całkiem nie wiem.

ROGOŻYN: Patrzcie... Ten dom budował jeszcze dziadek. Mieszkali tu zawsze skąpcy.

MYSZKIN: Jak tu ciemno. Siedzisz w ciemnościach. Czy to przypadkiem nie twój ojciec?

ROGOŻYN: We własnej osobie.

MYSZKIN: Wesele wyprawisz tutaj?

ROGOŻYN: Tutaj.

MYSZKIN: Prędko się pobierzecie?

Nie jestem twoim wrogiem i w niczym nie będę ci przeszkadzać. Kiedy miał odbyć się twój ślub, nie przeszkadzałem ci, wiesz o tym. Za pierwszym razem ona sama przybiegła do mnie prawie sprzed ołtarza, prosząc, abym ją "ocalił" od małżeństwa z tobą. To jej własne słowa. A o tym że pogodziliście się znowu dowiedziałem się w wagonie... Potem i ode mnie uciekła, ty ją odnalazłeś i znów - do ołtarza, a teraz jak słyszę, znowu od ciebie uciekła. Dlatego tu przyjechałem. Chciałem ją namówić na wyjazd za granicę, leczyć się. Jest słaba, duszę i głowę ma skołatana. Chciałem wszystko urządzić bez siebie. Mówię prawdę. Zawsze byłem z tobą szczery. Zawsze mówiłem, że przy tobie czeka ją zguba. I ciebie też... Ja ciebie bardzo kocham. A teraz pójdę i nigdy już nie wrócę. Żegnaj.

ROGOŻYN: Posiedźże ze mną. Dawno cię nie widziałem.

Jak cię tu nie ma, nienawidzę tak, że chciałbym cię otruć. Teraz nie ma nawet piętnastu minut, a już mi cała złość przechodzi i lubię cię jak dawniej. Posiedź ze mną.

MYSZKIN: Kiedy jestem, to mi wierzysz, a jak odchodzę zaraz przestajesz wierzyć i podejrzewasz... W ojczulka się wdałeś!

ROGOŻYN: Wierzę twojemu głosowi, kiedy z tobą siedzę. Rozumiem przecież, że nie można nas porównywać, mnie i ciebie.

MYSZKIN: I po coś to dodał, znowu się złościś.

ROGOŻYN: Mówisz, że ją kochasz tylko z a ł o ś c i ą , a nie miłością. We mnie żadnej żalości dla niej nie ma. A ona nienawidzi mnie okropnie. Co noc mi się teraz śni: że z kimś innym wyśmiewa się ze mnie. Tak to jest, bracie. Ze mną idzie do ołtarza, a o mnie nawet nie pomyśli, zmienia chłopów jak rękawiczki. Czy dasz wiarę, że nie widziałem jej pięć dni, bo jechać do niej nie śmiem, a nóż zapyta: po coś przyjechał? Nieraz mnie już hańbiła.

MYSZKIN: Jak to hańbiła?

ROGOŻYN: Niby to nie wiesz? Z tobą uciekła ode mnie "sprzed ołtarza", jak sam powiedziałeś...

MYSZKIN: Ale ze mną nie...

ROGOŻYN: A z tym oficerem Ziemtużnikowem - nie? I to już po tym, jak wyznaczyła termin ślubu.

MYSZKIN: Niemożliwe.

ROGOŻYN: To wszystko zawracanie głowy. Z tobą nie będzie taka i sama nawet przerazi się swoich sprawek, a ze mną właśnie będzie taka. Tak to jest. Na mnie patrzy jak na ostatnie bydło. Z Kellerem, tym co się boksował... to tylko dlatego, żeby mnie wyśmiać, wiem to na pewno. A co ona tam wyprawiała ze mną! A ile ja tam pieniędzy wydałem, ile pieniędzy...

MYSZKIN: Jak ty się teraz ożenisz! ... I jak będziecie żyć potem!

ROGOŻYN: Piąty dzień, jak u niej nie byłem. Wciąż się boję, że mnie wypędzi. Pokojówce podarowała taki jeden szal ode mnie, taki, że nigdy na pewno na oczy przedtem nie widziała... Kiedyś całą noc prawie do świtu siedzę pod jej bramą - coś mi się wydawało... A ona dojrzała mnie przez okno i powiada: "No i cóż byś zrobił,

gdybyś zobaczył, że cię zdradzam?" Nie wytrzymałem i mówię:
"sama wiesz".

MYSZKIN: Co ona wie?

ROGOŻYN: A skąd ja mogę wiedzieć? Raz mówię do niej: "Zgodziłaś się
wziąć ze mną ślub, wchodzisz do uczciwej rodziny, a czy ty wiesz
kto jesteś?"

MYSZKIN: Powiedziałaś jej?

ROGOŻYN: Powiedziałem.

MYSZKIN: A ona?

ROGOŻYN: "A ja - mówi ona - zwołam zaraz Kellera i powiem mu, żeby cię
wyrzucił za drzwi". Wtedy ją złapałem i zbiłem. Na kwaśne jabłko
Tak to się wszystko teraz przedstawia. A co ty o tym myślisz?

MYSZKIN: A ty co myśłosz?

ROGOŻYN: A czy ja wogóle myślę...

MYSZKIN: Ja ci jednak na drodze stawać nie będę.

ROGOŻYN: Wiesz co ci powiem? Nie rozumiem, co ty mi tak ciągle ustępujesz
Przedtem jednak tęskniłeś do niej, widziałem przecież. Więc niby
po co tu przyleciałeś? Z żalości?

MYSZKIN: Myślisz, że cię oszukuję?

ROGOŻYN: Nie, wierzę ci. Może i ta twoja żalość silniejsza...

MYSZKIN: Najbardziej dziwi mnie, jak ona może znowu iść za ciebie! Dwa
razy od ciebie uciekła. Cóż ona w tobie teraz widzi?

ROGOŻYN: Czego się tak znowu uśmiechnąłeś do ojcowego portretu?

MYSZKIN: Gdyby nie te twoje kłopoty sercowe, byłbyś chyba taki jak twój
ojciec i to bardzo prędko. Byłbyś taki sam, masz w sobie dużo
silnych namiętności, że jak nic poleciałbyś z nimi na Sybir, na
katorgę, gdybyś też nie miał rozumu, ale ty rozum masz, i to du-
ży...

ROGOŻYN: Co ty mówisz?!

MYSZKIN: ...osiadłbyś, tak jak twój ojciec ze swoimi skopcami, może byś sam przeszedł na ich wiarę i tak byś już pokochał te swoje pieniądze, że nawet nie dwa, ale dziesięć milionów zabrałbyś i na workach ze złotem umarłbyś z głodu.

ROGOŻYN: Tak, tak, tak, tak mi mówiła prawie jota w jotę, tymi słowami, dokładnie to samo! Tak, tak: "Nic tu nie trzeba zmieniać, tak będziemy mieszkali, chcę przy twojej mateczce mieszkać, kiedy zostanę twoją żoną."

Zaprowadziłem ją do mateczki, była dla niej z wielkim szacunkiem jak rodzona córka. Mateczka od dawna, chyba już od dwóch lat nie jest przy zdrowych zmysłach, a od śmierci ojca zrobiła się całkiem jak dziecko, nie mówi, nie chodzi i tylko wszystkim, kogo zobaczy, z miejsca się kłania. Zdaje się, że gdyby jej nie dać jeść, to przez jakieś trzy dni wcale by tego nie zauważyła.

Wziąłem prawą rękę mateczki: "Pobłogosław mateczko, ma ze mną iść do ślubu". Wtedy ona serdecznie pocałowała mateczkę w rękę - "dużo musiała cierpieć twoja mateczka".

MYSZKIN: Tak się z tego cieszę, bardzo się cieszę. Kto wie, może Pan Bóg da, że się jakoś zgodzicie i zejdziecie.

ROGOŻYN: A to się nigdy nie stanie!

MYSZKIN: Słuchaj, jesteś podejrzliwy i zazdrosny, więc wyolbrzymiałeś to, co zauważyłeś złego. Ona z penością nie myśli o tobie tak źle, jak mówisz. W przeciwnym razie jej decyzja wyjścia za ciebie znaczyłaby, że ona świadomie kładzie głowę pod nóż. A czy to do pomyślenia? Kto świadomie chce iść na niechybną śmierć?

ROGOŻYN: Do wody albo pod nóż! Przecież dlatego wychodzi za mnie, że spodziewa się noża! Czyś ty, bracie, naprawdę nie połapał się dotąd o co chodzi?

MYSZKIN: Nie mogę cię zrozumieć.

ROGOŻYN: Może. Mówią przecie o tobie, że ty trochę... n i e t e g o.
Kto inny posiadał jej miłość, rozumiesz. Tak samo jak ja teraz
ją kocham, ona kocha się w innym. A wiesz w kim? W tobie! Nie
wiedziałeś czy co?

MYSZKIN: We mnie?

ROGOŻYN: Wtedy zaraz cię pokochała, od pierwszej chwili, od urodzin.
Tylko jej się zdaje, że nie może wyjść za ciebie, ponieważ w
ten sposób podobno szańbi cię i zaprzepaści twoją przyszłość.
Powiedziała mi to w oczy. Ciebie boi się zgubić, a za mnie,
owszem, nic nie szkodzi, można wyjść - tak bardzo mnie szanuje,
zauważ tylko... Mówisz, że ją wtedy odszukałem. Nieprawda, sa-
ma do mnie przybiegła: "Wyznacz dzień, jestem gotowa! Daj, daj
szampana! Jedziemy do Cyganek!" Gdyby mnie nie było, dawno już
by się utopiła, dając słowo. Dlatego się nie utopi, że ja dla
niej jestem może straszniejszy od wody. Wychodzi za mnie z roz-
paczy...

No dość tego. Coś tak zgłupiał? Rzeczywiście o tym nie wiedzia-
łeś?

MYSZKIN: To zazdrość, chory jesteś.

Co ty robisz?

ROGOŻYN: Daj spokój.

MYSZKIN: Do papieru?

ROGOŻYN: Tak, do papieru. Czy ogrodowym nie można papieru?!

MYSZKIN: Ale on jest nowiutki...

ROGOŻYN: To co, że nowiutki? Nie mogę teraz kupić nowego noża?!

MYSZKIN: Tośmy się dogadali!... Wybacz mi, bracie.

Głowa mnie boli... robię się całkiem głupi.

Bądź zdrow!

ROGOŻYN: Nie tędy.

MYSZKIN: Zapomniałem.

ROGOŻYN: Pokażę ci grogę.

Wszystkie te obrazy tutaj, zostały zakupione przez nieboszczyka ojca na licytacjach po rublu, po dwa ruble, ojciec to lubił. Oglądał je kiedyś pewien amator, za ten dawał trzysta pięćdziesiąt, choć kosztował tak samo dwa ruble.

MYSZKIN: Widziałem ten obraz za granicą i nie mogę go zapomnieć. To kopia, zdaje mi się, że doskonała kopia. Co ci się stało?

ROGOŻYN: Słuchaj no, już dawno chciałem zapytać: czy ty wierzysz w Boga?

MYSZKIN: Dziwnie jakoś pytasz... i patrzysz!

ROGOŻYN: A na ten obraz lubię popatrzeć.

MYSZKIN: Od tego obrazu niejeden może stracić wianę!

ROGOŻYN: Tak, może.

MYSZKIN: A co ty...? Ja żartowałem a ty na serio! I po co mnie pytałeś, czy wierzę w Boga?

ROGOŻYN: Tak sobie. Już dawno chciałem spytać. Teraz przecież dużo niewierzących.

MYSZKIN: Więc bądź zdrow!

ROGOŻYN: Bądź zdrow!

MYSZKIN: A co się tyczy wiary, taka historia: ~~Dwaj chłopcy~~ W miasteczku powiatowym dwaj chłopcy, już niemłodzi i niepijani, przyjaciele, napili się herbaty i chcieli pójść spać w jednym pokoiku. Ale na dwa dni przedtem, jeden z nich podpatrzył u drugiego srebrny zegarek na łańcuszku z żółtych paciorków, nie był złodziejem, ale tak mu się spodobał ten zegarek, tak go znęcił, że chłop w końcu nie wytrzymał: wziął nóż i kiedy przyjaciel się odwrócił, podszedł do niego ostrożnie z tyłu, wzniosł oczy do nieba, przeżegnał się, i wymówiwszy w myśli błagalną prośbę: "Boże, odpuść, na rany Chrystusa!", zamordował przyjaciela od jednego razu jak barana i zabrał mu zegarek.

ROGOŻYN: To mi się podoba! To najlepsze ze wszystkiego! Jeden wcale w Boga nie wierzy, a drugi tak bardzo, że nawet ludzi morduje z modlitwą na ustach... Tego się nie wymyśli! To wspaniałe!

MYSZKIN: A dzisiaj na dworcu - pijany żołnierz przy bramie. Podchodzi do mnie: "Niech wielmożny pan kupi srebrny krzyżyk, oddam za dwadzieścia kopiejek, srebrny" i pokazuje krzyżyk, na bardzo znośzonej niebieskiej wstążeczce, ale cynowy, widać to od razu. Duży, zwykły. Wyjąłem pieniądze i dałem mu, a krzyżyk zaraz włożyłem na szyję, ucieszył się - udało mu się oszukać głupiego. I zaraz poszedł, pewnie przepić swój krzyżyk. I pomyślałem: "Nie, nie potępię tego zdrajcy Chrystusowego... Bóg raczy wiedzieć, co tam tkwi w tych słabych i zapitych sercach..."

Słuchaj, pamiętasz jak kiedyś spotykaliśmy się i rozmawiali... I wcale nie chciałem wracać tutaj teraz! I całkiem inaczej wyobrażałem sobie nasze spotkanie! No ale cóż, niech cię Bóg wspomaga. Bądź zdrów!

ROGOŻYN: Pokaż. Pokaż krzyżyk.

Daj mi go. Będę go nosił, a swój oddam tobie i ty go noś.

MYSZKIN: A dajże mi się chociaż uściskać na pożegnanie, ty dziwaku!

ROGOŻYN: Chodźmy, zaprowadzę cię do mateczki...

TARANTULA - SEN KSIĘCIA.

LEBIEDIEW: ...Niespokojna, urągliwa, nieszczera i złośnica!

MYSZKIN: Nieszczera i złośnica?

LEBIEDIEW: Złośnica: zeszkłym razem o mało nie wczepiła mi się we włosy z powodu jednej rozmowy. Zacząłem ją poskramiać Apokalipsą.

MYSZKIN: Jak to?

LEBIEDIEW: Czytaniem Apokalipsy. Dama z zakłóconą wyobraźnią, he, he! Lubi takie tematy... Zgodziła się ze mną, że jesteśmy przy trzecim koniu wronym, i przy jeźdźcu trzymającym w ręce miarę, bo dziś wszystko oparte jest na miarach, wszyscy liczą tylko i dochodzą swoich praw, i jeszcze serce czyste i ciało zdrowe, i wszystkie dary Boże chcą przy tym zachować...

MYSZKIN: Pan sam tak wierzy?

LEBIEDIEW: Wierzę i głoszę. Nędzny jestem i nagi, i proch marny w kołowrocie ludzkim.

HIPOLIT: A czy pan wie, że ja się strasznie cieszę, że to właśnie dzisiaj są pana urodziny! Niech pan prędzej siada, już się zebrał cały pański... lud. Tak przypuszczałem, że będzie lud. Czy można pić za zdrowie słońca, jak pan myśli?

GOŚĆ: Wypijemy, owszem, tylko pan musi trochę się uspokoić, dobrze?

HIPOLIT: Panie! Co oznaczają "źródła życia" w Apokalipsie?

LEBIEDIEW: Diabeł wciąż tak samo włada ludzkością aż do czasu, którego nie znamy jeszcze. Pan się śmieje? Pan nie wierzy w diabła? A czy wie pan, co to diabeł? Wie pan, jak mu na imię? I nie znając nawet jego imienia pan się śmieje z jego kopyt, ogona i rogów, które pan sam wymyślił, albowiem zły duch jest duchem wielkim i groźnym, a nie takim z rogami i kopytami. Ale nie o niego teraz chodzi!...

HIPOLIT: Skąd pan wie, że teraz chodzi nie o niego?!

LEBIEDIEW: Chodzi o następującą anegdotę z minionych wieków. W naszej ojczyźnie, zarówno jak w Europie, ogólny, powszechny i okropny głód nawiedza ludzkość, obecnie nie częściej niż raz na dwadzieścia pięć lat, czyli bardzo rzadko w porównaniu z wiekiem dwunastym, kiedy powszechny głód nawiedzał ludzkość raz na dwa, albo przynajmniej na trzy lata. Wobec takiego stanu rzeczy człowiek uciekał się nawet do antropofagii, aczkolwiek zachowywał to w tajemnicy. Jeden z takich darmozjadów, wobec zbliżającej się starości, oznajmił sam z siebie, bez rzadnego przymusu, że w przeciągu swej długiej i marnej egzystencji zamordował i zjadł osobiście w największym sekrecie sześćdziesięciu mnichów i kilka świeckich niemowląt - ze sześć sztuk, nie więcej, czyli niezwykle mało w porównaniu z ilością zjedzonego przez niego duchowieństwa. Dorosłych zaś ludzi świeckich nigdy w tym celu nie używał.

GOŚĆ: Czy można zjeść sześćdziesięciu mnichów?

LEBIEDIEW: Nie zjadł ich przecie od razu, co jest oczywiste, tylko może w ciągu piętnastu albo dwudziestu lat, co jest najzupełniej zrozumiałe i naturalne...

GOŚĆ: I naturalne?

LEBIEDIEW: I naturalne. A przy tym wszystkim katolicki mnich jest z istoty swojej pazerny i ciekawy i aż nadto łatwo zwabić go do lasu, albo do jakiegoś ustronia i tam postąpić z nim, w sposób wyżej opisany. Jednak nie przeczę, że ilość zjedzonych osób okazała się nadzwyczajna, świadcząca nawet o nieumiarkowaniu.

MYSZKIN: Może to i prawda, proszę panów.

HIPOLIT: Na pewno to prawda, że w dwunastym wieku można było jeść tylko mnichów, bo tylko mnisi byli wypasieni.

LEBIEDIEW: Wspaniała i niebywale trafna myśl! Albowiem ludzi świeckich on nawet nie tknął. To jest myśl straszna, myśl historyczna, myśl statystyczna! Widać, że mojego klienta męczyły straszne wyrzuty sumienia, więc żeby w miarę możliwości zmniejszyć swój grzech, tytułem próby sześć razy zmienia pokarm mniszy na pokarm świecki. Teraz finał, w którym zawarte jest rozwiązanie jednego z największych problemów naszej epoki! Przestępca idzie i oskarża siebie przed duchowieństwem i oddaje się w ręce władz. Któż mu kazał iść i oskarżać siebie? Dlaczego nie mógł po prostu zatrzymać się na liczbie sześćdziesiąt, zachowując tajemnicę do ostatniego tchnienia? Dlaczego wreszcie sam nie mógł zostać mnichem i pędzić resztę życia na pokucie jak pustelnik? Tu jest właśnie rozwiązanie! Więc jednak była m y ś l, silniejsza od stosów, płomieni, męczarni i całego tego piekła! Myśl kierująca sercami i zapładniająca źródła życia!

Nie straszcie mnie waszym dobrobytem, waszymi bogactwami, rzadkością głodu i szybkością komunikacji! Bogactwa więcej, ale siły mniej, zabrakło myśli, któraby spajała, wszystko rozmiękło, wszystko zgniło i wszyscy zgnili. Wszyscy, wszyscy, wszyscyśmy zgnili...

Ale dość o tym, nie o to teraz chodzi, tylko o to, czy nie należałoby zarządzić, wielce szanowny księżę, aby nam podano zakąseczki przygotowane dla gości!

GOŚC': Czy ten smarkacz zamieszkał u pana?

MYSZKIN: Tak.

GOŚC': Myślę, że chyba nie umrze zaraz?

MYSZKIN: A bo co?

GOŚC': Tak sobie, nic. Przez cały czas oczu nie mogę oderwać od tej obrzydliwej fizjonomii...

MYSZKIN: On ma twarz dość ładną...

GOŚC': O, o, niech pan patrzy! A to dopiero!

LEBIEDIEW: "A powstawszy, porwali go i przywiedli do Rady
I stawili fałszywych świadków, którzy rzekli
Ten człowiek nie przestaje mówić słów bluźnierczych przeciwko
temu świętemu miejscu
świętemu miejscu i zakonowi
A patrząc nań pilnie oni wszyscy, którzy siedzieli w Radzie
widzieli oblicze jego - jako oblicze Anioła".

HIPOLIT: Co, rozchodzą się? Słońce wzeszło? Która godzina? Na miłość
Boską: która godzina? Zasnęłam. Długo spałam?

GOŚC': Pan spał siedem albo osiem minut.

HIPOLIT: O, on też tutaj? Śnił mi się przed chwilą. Prawda, że świat
będzie zbawiony przez piękno? A ja myślę, że pan ma takie fi-
glarne myśli, bo jest teraz zakochany, jakież to piękno ma
zbawić świat? Pan mi nie odpowiada, pan może sądzi, że ja
pana bardzo kocham?

GOŚC': Pan nie powinien już więcej pić, ja panu nie pozwolę.

HIPOLIT: Nie ma się co przejmować tym, że jesteśmy śmieszni, prawda?
Pan się chyba nie obraża o to, że mówię panu w oczy, iż pan
jest śmieszny? Przyjechałem tu, żeby widzieć drzewa. A wie
pan, ja nie mam osiemnastu lat: tak długo leżałem w łóżku, tak
długo patrzyłem przez to okno na ścianę sąsiedniego domu...
Nieboszczyk nie ma lat, pan wie.
Są dookoła mnie ludzie i nigdy ich już nie będzie. I drzew tak
samo... więc trzeba chociaż spróbować im o wszystkim powiedzieć

Nie rozumiem, wie pan, jak można przechodzić obok grzewa i nie być szczęśliwym, że się je widzi?

Rozmawiać z człowiekiem i nie być szczęśliwym, że się go kocha! Niech mi pan poda rękę. Chyba już nie będę więcej pił. Która to godzina? Zresztą nie trzeba, wiem która godzina. Nadeszła godzina!

Co tam, w kącie stawia się zakąski? W takim razie ten stół jest wolny. Pięknie... proszę panów! Zamierzam jedną rzecz.

GOŚĆ: Czy nie lepiej odłożyć to do jutra?

HIPOLIT: Jutro? "Już nie będzie czasu"! Cha, cha! Tajemnica! A czy pan pamięta kto zapowiedział, że już nie będzie czasu? Zapowiada to olbrzymi i potężny anioł w Apokalipsie.

LEBIEDIEW: Za dużo się mówi.

HIPOLIT: Założyłbym się, że wiem, o czym pan teraz myśli... Pan myśli: Bić go dajmy na to - nie można, ale można by go udusić mokrą ścierką we śnie. Pan ma to wypisane na twarzy, że pan tak myśli - właśnie w tej chwili!

MYSZKIN: Nigdy tego nie myślałem!

HIPOLIT: Może... Przysniło mi się, że ktoś zadusił mnie mokrą ścierką. No, powiem panu kto: O - ten, tam!

No dobrze. Niech mi pan sam powie... Jak teraz, jak mi będzie najlepiej umrzeć. Tak, aby wypadło w miarę możliwości najuczciwiej, najmoralniej, no niech pan powie!

MYSZKIN: Niech pan przejdzie obok nas i wybaczy nam nasze szczęście.

HIPOLIT: Cha, cha! I ja tak myślałem! Cha, cha.

Oczywiście - byłem pewny, że mi pan tak prosto w oczy wygarnie, że będzie mi "lżej umierać wśród ludzi i drzew..."

Jednakże pan... jednakże pan... No, no... A wie pan - jaki

uroczy miałem sen, teraz mi się dopiero przypomniało: Obudziłem się w pokoju. Pokój większy i wyższy od mojego, lepiej umeblowany, widny, szafa, komoda, kanapa i moje łóżko pokryte zieloną kołdrą. I zobaczyłem okropne zwierzę. Był to niby skorpion - nie, nie skorpion, tylko coś obrzydliwszego. Czułem, że ono umyślnie zjawiko się u mnie. Był to brunatny skorupiak, gad pełzający, długości ze cztery werszki, u głowy gruby na dwa palce, w kierunku ogona coraz cieńszy, taki, że sam koniuszek ogona miał grubości nie więcej niż pół werszka. Głowie się nie przyjrzałem, ale zauważyłem dwa wąsiki, niedługo, w postaci dwóch mocnych igieł, też brunatnych. Takie same dwa wąsiki na końcu ogona i na końcu każdej z łap, a zatem wszystkiego osiem wąsików.

Zwierzę biegało po pokoju, bardzo szybko, opierając się na łapach i na ogonie i patrzeć na to było obrzydliwie.

Nagle usłyszałem z tyłu za sobą jakieś ni to trzaski, ni to szmery. Zobaczyłem, że gad pełźnie po ścianie na wysokości mojej głowy, dotyka nawet moich włosów ogonem, który wiercił i wił się z niezwykłą szybkością. Do pokoju wpadła Norma, nasza suka, zdechła przed pięciu laty, i stanęła przed gadzi-
ną jak wryta. Przyciała się, chwyciła gada zębami i dwa razy całą paszczą wciągnęła go w siebie - w locie, jakby go łykając. Skorupa zatrzeszczała w jej zębach, ogonek i łapy sterujące z paszczy, poruszały się ze straszną szybkością. Żaloscnie zaskowyczała: zdążył jednak ukąsić jej język. Piszcząc i wyjąc suka otworzyła paszczę: rozgryziony gad poruszał się jeszcze, wypuszczając na język suki mnóstwo białego soku...

GOSĆ:

Jednak sen.

LEBIEDIEW:

Tak, zanadto się pan sobą interesuje...

HIPOLIT: Już czas - zatrzymałem państwa, chciałem państwu wyjaśnić w wszystko... myślałem, że wszyscy... po raz ostatni... to była fantazja /no: sen-mara/. No, żegnam państwa. Czy myślicie, że łatwo mi powiedzieć: "żegnam państwa?" Cha, cha, cha.

HIPOLIT: Obraz przedstawiał Chrystusa, który dopiero co został zdjęty z krzyża. Malarze przyzwyczaili się malować Chrystusa i na krzyżu i zdjętego z krzyża, lecz zawsze z odcieniem niezwyklej piękności w obliczu. Na tym obrazie nie ma nawet śladu piękności, jest to najzwyklejszy trup człowieka dopiero co zdjętego z krzyża. Twarz zachowała w sobie dużo życia, ciepła, nic nie zdążyło jeszcze zeszywnieć... Jest tu tylko natura i naprawdę taki powinien być trup człowieka po tylu mękach, kimkolwiek byłby ten człowiek. Dziwna rzecz - kiedy się patrzy na tego trupa, na tego zameczzonego na śmierć człowieka, przychodzi na myśl pewne osobliwe i ciekawe pytanie. Jeżeli śmierć jest tak okropna i prawa natury tak silne, to jak je przewyciężyć? Jak je przemóc? Nie przewyciężył ich teraz nawet Ten, który za życia swego zawołał: "Thalita kumi!" i dziewczeczka wstała, "Łazarzu, wstań" - i zmarły wyszedł z grobu? Ci ludzie, którzy otaczali zmarłego, a których wcale nie ma tutaj na obrazie, musieli odczuć straszliwy niepokój i zwątpienie tego wieczoru, kiedy runęły wszystkie ich nadzieje i niemal wygasła ich wiara. Musieli rozejść się w ogromnym strachu. I gdyby sam nauczyciel mógł ujrzeć ten swój obraz w przeddzień stracenia, to czy tak samo wstąpiłby na krzyż i tak samo umarłby jak teraz? Wzeszło słońce!

GOŚĆ: A pan myślał, że nie wszędzie, co?

HIPOLIT: Odchodzę!

MYSZKIN: Może pana odprowadzić...

HIPOLIT: Ja nie stąd odchodzę.

Niech pan nic nie mówi, cicho! Niech pan czeka... Chcę popatrzeć w pana oczy... Niech pan tak stoi, będę patrzył. Pożegnaj się z Człowiekiem.

Za zdrowie słońca !!!

AGŁAJA: Przypuszcza pan, że mądrzej niż inni spędzi pan życie?

MYSZKIN: Tak, nieraz to myślałem.

AGŁAJA: I myśli pan?

MYSZKIN: I myślę...

AGŁAJA: Co za skromność! W ten sposób łatwo można spędzić życie...

MYSZKIN: Pani jest niezwykle piękna. Pani jest tak piękna, że strach na panią patrzeć... Prawie jak... choć twarz ma pani zupełnie inną!

AGŁAJA: Skoro z pana taki znawca twarzy, to z pewnością był pan już kiedyś zakochany?

MYSZKIN: Nie, nie byłem zakochany... Byłem... inaczej szczęśliwy.

HIPOLIT: Tak się to musiało skończyć, według pana! Więc niech pan wie, że jeśli kogo tutaj nienawidzę /wszystkich was nienawidzę/ - - to pana, idioto, pana nienawidzę bardziej niż wszystkich na świecie... To pan urządził całą tą hecę! Pan doprowadził mnie do wybuchu. Zabiłbym pana, gdybym miał żyć dłużej. Nie potrzebuję nic od nikogo! Przeklinam was wszystkich na wieki.

PRAWDA! PRAWDA!

AGŁAJA: Śpi! Pan spał!

MYSZKIN: To pani. Ach tak! To umówione spotkanie... Ja tu spałem.

AGŁAJA: Widziałam.

MYSZKIN: Czy mię nikt nie budził oprócz pani? Czy nikogo tu oprócz pani nie było? Zdawało mi się, że tu była... inna kobieta...

AGŁAJA: Tu była inna kobieta?!

MYSZKIN: To był tylko sen. Niech pani siada. Ach tak! Ten chłopiec się zastrzelił.

AGŁAJA: Kiedy? Przecież wczoraj wieczorem, zdaje się, żył jeszcze?

MYSZKIN: Ale przecież on nie umarł, bo pistolet nie wypalił.

AGŁAJA: To do niego bardziej pasuje. Czy pan jednak jest pewny, że on naprawdę chciał się zastrzelić i że nie było w tym oszukaństwa?

MYSZKIN: Żadnego oszukaństwa.

AGŁAJA: To jest chyba bliższe prawdy. I tak napisał, żeby pan mi przyniósł jego spowiedź? Dlaczego pan nie przyniósł?

MYSZKIN: Przecież on nie umarł. Bo pistolet nie wypalił.

AGŁAJA: A pan umie strzelać?

MYSZKIN: Nigdy dotąd nie strzelałem.

AGŁAJA: Ale umie pan nabijać pistolety?

MYSZKIN: Umie. To znaczy nigdy dotąd nie nabijałem, ale wiem jak to się robi.

AGŁAJA: A to pan nie umie, bo tu trzeba wprawy. Ma pan pistolety?

MYSZKIN: Strasznie mi się to podoba, że pani jest takim dzieckiem, takim miłym i dobrym dzieckiem...

AGŁAJA: A jakąż to kobieta przysniła się panu?

MYSZKIN: To... o... pani ją widziała...

AGŁAJA: Rozumiem, doskonale rozumiem. Pan ją bardzo... Jak ona się panu przysniła, w jakiej postaci? A zresztą nie chcę nic wie-

dzieć. Niech pan mi nie przerywa. Niech pan posłucha o co mi chodzi, po co pana wezwałam: chcę panu zaproponować, żeby pan był moim przyjacielem. Cóż pan tak na mnie wytrzeszczył oczy? Może pan nie chce przyjąć mojej propozycji?

MYSZKIN: O nie, chcę, tylko, że to zupełnie zbyteczne... To znaczy, wcale nie myślałem, że trzeba robić taką propozycję.

AGŁAJA: A cóż pan myślał? Co się panu zdaje? Pan może zresztą uważa mnie za małego głuptaska, za jakiego wszyscy mnie w domu uważają? Nie uważa pan? Bardzo mądrze z pana strony.

MYSZKIN: Według mnie czasami pani jest może nawet bardzo rozumna - pani mi niedawno powiedziała jedno słowo, bardzo rozsądne: "W tym jest tylko prawda, a więc to niesprawiedliwe". Zapamiętam to sobie i przemyślę.

AGŁAJA: Niechże pan słucha - długo na pana czekałam, żeby panu to wszystko opowiedzieć. Połowę usłyszał pan ode mnie już wczoraj: uważam pana za najuczciwszego i najbardziej prawdomównego człowieka i jeżeli ktoś mówi o panu, że pański umysł... to znaczy, że pan jest czasem umysłowo chory, to jest niesłuszne. Do takiego wniosku doszłam, bo chociaż pan jest rzeczywiście chory na umyśle, ale główny rozum ma pan lepszy niż oni wszyscy, taki nawet, jaki im się nie śni, ponieważ są dwa rozумы: główny i nie główny. Tak? Prawda, że tak?

MYSZKIN: Może i tak.

AGŁAJA: Wiedziałam, że pan to zrozumie. Długo myślałam i nareszcie wybrałam pana. Chcę... no, chcę uciec z domu, a pana wybrałam, żeby mi pan w tym dopomógł. Chcę chociaż z jednym człowiekiem mówić o wszystkim tak, jak z sobą. Już dawno chciałam uciec. Dwadzieścia lat już jestem u nich zakorkowana i wciąż mnie wydają za męża. Chcę ludziom przynosić pożytek, chcę być odważna i ni-

kogo się nie bać. Nie widziałam ani jednej katedry gotyckiej, chcę być w Rzymie, chcę obejrzeć wszystkie muzea, chcę się uczyć w Paryżu, przez cały ostatni rok przygotowywałam się i uczyłam, przeczytałam mnóstwo książek, przeczytałam wszystkie książki zakazane, żeby się o wszystkim dowiedzieć. Czy możemy do spółki zająć się pracą wychowawczą, jeżeli nie teraz, to w przyszłości? Niech pan mi powie, czy pan jest bardzo uczony?

MYSZKIN: Nie, wcale.

AGŁAJA: A to szkoda, bo ja myślałam... jakże to ja myślałam? Pan jednak będzie mną kierował, dlatego że pana wybrałam.

MYSZKIN: Ale to nie ma sensu.

AGŁAJA: Niech pan mnie nie wyprowadza z równowagi, jestem przekonana, że pan przyszedł tutaj, będąc zupełnie pewnym, że się w pana kocham i zaprosiłam pana na rendez-vous.

MYSZKIN: Rzeczywiście wczoraj obawiałem się tego...

AGŁAJA: Jak to! Pan śmiał myśleć, że ja... Boże! Brakuje tylko tego, aby pan mnie posadził, że ściągnęłam tutaj pana w pułapkę: żeby nas tu zastano i zmuszono pana...

MYSZKIN: Jak pani nie wstyd, założę się, że pani sama nie wierzy własnym słowom i... sama pani nie wie co mówi!

AGŁAJA: Wcale się nie wstydzę. Jak pan śmiał wtedy przysłać mi list miłosny?

MYSZKIN: List miłosny? Mój list - miłosny! Ten list wypłynął mi z serca w najcięższych chwilach mojego życia! Przypomniałem sobie wtedy o pani jak o jakiejś jasności... J...

AGŁAJA: Dobrze, niech pan nie patrzy na mnie wprost! Niech pan się odwróci. Ja to tak... żeby pana wypróbować! Ja wiem wszystko - - pan mieszkał wtedy z tą wstrętną kobietą, z którą pan uciekł. Ja pana wcale nie kocham. Kocham Gawriłę Ardalionowicza.

MYSZKIN: To nie prawda. Pani to wszystko zmyśliła.

AGŁAJA: On kocha mnie nad życie. W mojej obecności spalił sobie rękę.

MYSZKIN: Spalił sobie rękę?

AGŁAJA: Tak, rękę.

MYSZKIN: Więc chyba przyniósł tutaj z sobą świeczkę.

AGŁAJA: Tak... świeczkę.

MYSZKIN: W lichtarzu?

AGŁAJA: No tak... Nie... Pół świecy... Ogarek... Całą świecę!...

I zapaliki, jeżeli panu o to chodzi - też przyniósł. Zapalił świecę i przeszło pół godziny trzymał palec nad płomieniem.

Wie pan dlaczego teraz skłamałam? Dlatego, że kiedy się kłamie, to jeżeli wstawi się coś ekscentrycznego, coś takiego, co bardzo rzadko albo nigdy się nie zdarza, kłamstwo staje się o wiele prawdopodobniejsze. Zauważyłam to.

MYSZKIN: I znów się pani zarumieniła, znów pani patrzy ponuro. Pani z nadto ponuro czasem patrzy...

AGŁAJA: Niech pan nic nie mówi!

MYSZKIN: Nie, lepiej powiedzieć. Już dawno chciałem powiedzieć. Między nami stoi wciąż pewna istota...

AGŁAJA: Niech pan milczy! Milczy!

MYSZKIN: Pani jest bardzo niesprawiedliwa względem mnie... względem tej nieszczęsnej, o której pani tak okropnie się wyraziła.

AGŁAJA: Dlatego, że wiem wszystko. Pan ofiarował jej swoją rękę, a ona uciekła z tamym, potem pan mieszkał z nią w jakiejś wsi czy mieście i ona znów uciekła od pana. Potem wróciła do tego człowieka, który ją kocha jak szalony. Potem pan, też bardzo mądry człowiek, przygalopował za nią tutaj. Wczoraj wieczorem poleciał pan do niej, a dzisiaj przysniła się panu... Widzi pan, że wszystko wiem, przecież pan dla niej tu przyjechał?

- MYSZKIN: Tak, dla niej, żeby tylko się dowiedzieć... Nie wierzę w jej szczęście z nim... jednak przyjechałem.
- AGŁAJA: Jeżeli pan przyjechał nie wiedząc po co, to musi ją pan bardzo kochać.
- MYSZKIN: Nie, nie kocham. Ja ją kochałem, bardzo ją kochałem, ale potem ona domyśliła się wszystkiego.
- AGŁAJA: Czego się domyśliła?
- MYSZKIN: Że mnie jej tylko żal, ale już jej nie kocham.
- AGŁAJA: Nigdy się z pana nie wyśmiewała?
- MYSZKIN: Wyśmiewała się, gdy była na mnie zła, oburzała się i robiła mi straszne wymówki w uniesieniu - i sama przy tym cierpiała! Ale potem... niech mi pani tego nie przypomina.
- AGŁAJA: A czy pan wie, że ona prawie codziennie pisuje do mnie?
- MYSZKIN: Słyszałem o tym.
- AGŁAJA: Już cały tydzień błaga mnie, nakłania, kusi, żebym wyszła za pana. Chce pana widzieć szczęśliwym. Tak dziko pisze... Tak dziwnie... czy pan wie co to znaczy? Ona... no tak, ona jest rozumna, rozumna chociaż szalona i pan ma rację, że ona jest o wiele mądrzejsza ode mnie.
- MYSZKIN: To obłąd.
- AGŁAJA: Więc co mam robić?
- MYSZKIN: Niech ją pani zostawi w spokoju, błagam panią. Cóż pani ma robić w tych ciemnościach, postaram się, żeby ona nie pisała do pani więcej.
- AGŁAJA: Czyż pan wszystko w niej zdołał zauważyć, a tego nie zauważył? To zazdrość, to więcej niż zazdrość! Ona popełni samobójstwo nazajutrz po naszym ślubie!
- MYSZKIN: Bóg świadkiem, że oddałbym życie, żeby przywrócić jej spokój.

AGŁAJA: Więc niech się pan poświęci, to tak pasuje do pana!

MYSZKIN: Wiem n a p e w n o, że ona ze mną zginie i dlatego ją porzucam. To nienaturalne, ale tu wszystko jest nienaturalne. Nie, tu już jest coś innego, a nie miłość! Myśmy rzeczywiście mówili wtedy o pani...

AGŁAJA: Pan mógł z nią o mnie mówić i... i jak pan mógł mnie polubić, kiedy zaledwie raz mnie widział.

MYSZKIN: Nie wiem jak to się stało, że pomyślałem najpierw o pani. Prawdę wtedy pani pisałem, że nie wiem. Wszystko to było tylko marzeniem, ucieczką od ówczesnej grozy... Potem zacząłem pracować, chyba i za trzy lata bym tutaj nie przyjechał...

AGŁAJA: Więc przyjechał pan tu dla niej?

MYSZKIN: Tak, dla niej.

AGŁAJA: Jeżeli pan sam wierzy, że ta pańska kobieta jest szalona, to mnie jej szalone fantazje nic nie obchodzą i jeżeli ona ośmieli się jeszcze raz przysłać mi choćby jedno słowo, to niech pan jej powie, że się poskarżę ojcu i że ją oddadzą do domu wariatów.

MYSZKIN: Pani nie może mieć takich uczuć, to nieprawda.

AGŁAJA: To prawda! Prawda!

AGŁAJA: Czy pan dostał mojego jeża?

MYSZKIN: Dostałem.

AGŁAJA: Co pan o tym myśli?

MYSZKIN: To znaczy o czym?

AGŁAJA: O jeżu.

MYSZKIN: No cóż... sędzę, że pani chce się dowiedzieć, jak przyjąłem... jeża... albo ściślej mówiąc, jak się zapatruję... na tę przesyłkę... czyli na jeża, to jest... w takim razie uważam, że... słowem.

AGŁAJA: No, niedużo pan powiedział. Dobrze, zgadzam się zostawić jeża. Cieszę się. Pozwoli pan, że spytam wprost: Stara się pan o mnie, czy nie?

MYSZKIN: Nie starałem się o panią, ale... sama pani wie, jak panią kocham i wierzę w panią... nawet teraz...

AGŁAJA: Prosi pan o moją rękę czy nie?

MYSZKIN: Proszę.

AGŁAJA: Cieszę się. A jak pan myśli zapewnić mi szczęście?

MYSZKIN: Cóż... cóż tu można rzec? No i... czy potrzeba?

AGŁAJA: Niech pan wypije szklanekę wody, zaraz pan dostanie szklanekę herbaty.

MYSZKIN: Kocham panią, bardzo panią kocham, tylko panią jedną, więc... niech pani nie żartuje, bo panią naprawdę kocham.

AGŁAJA: I bardzo kochasz?

MYSZKIN: Bardzo kocham...

ICH CZWORO

ROGOŻYN: W całym domu nie ma teraz nikogo oprócz nas czworga.

AGŁAJA: Pani oczywiście domyśla się, po co panią prosikam.

NASTASJA: Nie, nic nie wiem.

AGŁAJA: Pani rozumie wszystko... ale pani umyślnie udaje, że nie rozumie.

NASTASJA: A niby po co?

AGŁAJA: Pani chce skorzystać z mojej sytuacji... że jestem u pani w domu.

NASTASJA: Tę sytuację nie ja spowodowałam, ale właśnie pani! I nie ja panią zaprosiłam, ale pani mnie i dotychczas nie wiem po co.

AGŁAJA: Niech pani powściągnie swój język, nie tą bronią przyszkam tu walczyć.

NASTASJA: O! Więc pani jednak przyszkła "walczyć"? No, no, myślałam jednak, że pani jest... dowcipniejsza.

AGŁAJA: Pani źle mnie zrozumiała - ja nie przyszkłam do pani, żeby się... kłócić, chociaż nie lubię pani. Przyszkła... przyszkłam do pani... na zwykłą ludzką rozmowę. Wzywając panią, byłam już z góry zdecydowana, co mam powiedzieć i od postanowienia tego nie odstąpię, chociażby pani całkiem mnie nie zrozumiała. Tym gorzej będzie dla pani, a nie dla mnie. Więc niech pani wysłucha mojej odpowiedzi na wszystkie pani listy: zrobiło mi się go żal po raz pierwszy tego samego dnia, kiedy go poznałam. A zrobiło mi się go żal, bo to taki prostoduszny człowiek i w prostocie swego ducha uwierzył, iż może być szczęśliwy... z kobietą... takiego pokroju. Stało się to, czego się obawiałam, myśląc o nim: pani nie mogła go pokochać, bo pani jest zbyt dumna... nie, nie dumna. Omyliłam się: dlatego, że pani jest próżna... nie, nawet nie to: pani jest samolubna do... szaleństwa, tego nie dowodzą listy pi-

sane do mnie. Jego, co jest taki prosty, pani nie była zdolna pokochać, a w duchu może pani nim nawet pogardzała i śmiała się z niego, pani zdolna była kochać tylko swoją hańbę i bezustanną myśl o tym, że pani jest zhańbiona i że panią skrzywdzono. Gdyby żadnej hańby nie było, czułaby się pani o wiele nieszczęśliwsza...

Kiedy go znów zobaczyłam, uczułam ~~zła~~ niego ogromny ból i urazę. Proszę się nie śmiać, jeśli pani będzie się śmiała, to pani nie jest godna tego zrozumieć...

NASTASJA: Pani widzi, że się nie śmieję.

AGŁAJA: Zresztą wszystko mi jedno, niech się pani śmieje, jeśli się pani tak podoba. Kiedy zaczęłam go wypytywać sama, powiedział mi, że dawno już pani nie kocha, że nawet wspomnienie o pani go męczy, ale że czuje litość dla pani, i kiedy panią wspomina, serce jego jest jakby "przebite na wieki". Ze słów jego domyśliłam się, że każdy, kto chce, może go oszukać, a każdemu, kto go oszuka, on później przebaczy, i za to go właśnie pokochałam. Powiedziałam pani wszystko i teraz pani chyba zrozumiała, czego od pani chcę.

NASTASJA: Może zrozumiałam, ale niech pani sama to powie.

AGŁAJA: Chciałam się od pani dowiedzieć - jakim prawem pani się wtrąca do jego uczuć względem mnie? Jakim prawem oświadcza pani co chwila i jemu, i mnie, że go pani kocha, skoro go pani sama porzuciła i uciekła od niego tak haniebnie?

NASTASJA: Nie oświadczałam ani jemu, ani pani, że go kocham i... pani ma słuszność, uciekłam od niego...

AGŁAJA: Jak to - nie oświadczała pani "ani jemu, ani mnie"! A listy pani? Dlaczego pani najzwyczajniej w świecie nie wyjechała stąd zamiast pisać do mnie te śmieszne listy? Dlaczego pani nie wyj-

No, niechże pani sobie weźmie swój skarb... Niech go pani zabiera, ale pod jednym warunkiem: wynoście się w tej chwili! Natychmiast!... Chcesz, to ja zaraz... każę mu, słyszysz? Każę mu tylko i on zaraz cię rzuci, zostanie ze mną na zawsze i ożeni się ze mną, a ty pobiegiesz do domu sama? Chcesz, chcesz?!

Chcesz, to przepędzę tamtego? A może myślałaś, że ja się dla twojej przyjemności wydałam za niego? Chcesz to zaraz przy tobie krzyknę: "Wynoś się!", a do księcia powiem: "Pamiętasz, co mi obiecałeś?" O, Boże! Po co ja się tak poniżyłam przed nim? Czy to nie ty, książe, sam mnie zapewniałeś, że pójdziesz za mną, cokolwiek stałoby się i nigdy mnie nie porzucisz, że mnie kochasz i wszystko mi przebaczysz, i mnie szanuj... Tak, i to też mówił! I ja, żeby ci rozwiązać ręce, uciekłam od ciebie, a teraz nie chcę! A bądźże przeklęty za to, że w ciebie jednego wierzyłam. Idź precz, jesteś niepotrzebny! To on, patrz! Jeżeli on zaraz nie podejdzie do mnie, nie weźmie mnie, a ciebie nie rzuci, to bierz go sobie, ustępuję ci go, mnie jest niepotrzebny!...

MYSZKIN: Czyż tak można! Przecież ona jest... taka nieszczęśliwa!

NASTASJA: Za nią? Za nią?...

Mój! Mój! Dumna panna uciekła! Cha, cha, cha! Jag go tej pannie oddawałam. I po co? Na co? Wariatka ze mnie! Wariatka!... Wynoś się stąd, cha, cha, cha!

- 27 -

E P I L O G

ROGOŻYN: Chodź, bracie, jesteś potrzebny.

MYSZKIN: Czy ona jest u ciebie?

ROGOŻYN: Tak. Siadaj, posiedzimy tymczasem.

Zimno, co?

MYSZKIN: Słuchaj: gdzie ona jest?

ROGOŻYN: Tam.

MYSZKIN: Ciemno tu.

ROGOŻYN: Widać.

MYSZKIN: Czy to ty?

ROGOŻYN: Ja.

Widzę, że się trzęsiesz. Bo jeśli teraz ma być ta twoja choroba i atak, to może jeszcze ktoś usłyszeć z ulicy, albo z podwórza, może kto wejdzie, zapuka. Bo tak - to wszyscy myślą, że mnie nie ma w domu. Więc, żeby się nie dowiedzieli, że tu jesteśmy...

Wczoraj weszliśmy tak cicho, jak ty teraz. Rozmawiała szeptem, szła na palcach, suknię ogarnęła, żeby nie robić szumu, w rękach ją niosła, a mnie groziła palcem - tak się ciągle ciebie lękała. W pociągu była całkiem zwariowana: "Ty mnie schowasz i o świcie będę mogła pojechać do Moskwy".

MYSZKIN: Czekaaj, co chcesz teraz, jak?...

ROGOŻYN: Tę noc przenocujemy razem. Łóżko tu jest tylko jedno, tamto. Więc tak wykombinowałem, że tu przy kotarze zrobi się dwa posłania, żeby spać razem. Ponieważ jak wejdą, zaczną oglądać mieszkanie, szukać, to zaraz ją zobaczą i wyniosą. A jak mnie zaczną wypytywać, powiem, że to ja, i zaraz mnie zabiorą. Więc niechże ona teraz leży tutaj, przy nas, przy mnie i przy tobie..

MYSZKIN: Tak, tak!

ROGOŻYN: Czyli, że nie przyznawać się i nie dać wynieść.

MYSZKIN: Nie, nie! Za nic w świecie!

ROGOŻYN: Tak też postanowiłem, bracie, żeby za nic i nikomu jej nie oddawać! Przenocujemy cichutko. Ja dziś wyszedłem z domu tylko na godzinę, z samego rana, a tak - to ciągle byłem przy niej. Boję się tylko, że może być czuć. Jest zapach, czy nie?

MYSZKIN: Może i jest, nie wiem. Do rana z pewnością będzie.

ROGOŻYN: Przykryłem ją ceratą, dobrą amerykańską ceratą, a na ceracie położyłem prześcieradło, i postawiłem cztery flaszki odkorkowane, z płynem Żdanowa.

MYSZKIN: Tak, tak.

ROGOŻYN: Bo chodzi, bracie, o ten fetor. A ona, jak leży... Zobaczysz rano, przy dziennym świetle. Co ty, nawet wstać nie możesz?

MYSZKIN: Nogi mi odmawiają posłuszeństwa, to ze strachu, wiem, że ze strachu... Wstanę, jak mi strach przejdzie...

ROGOŻYN: Czekałże, zaraz pościelę, żebyś się mógł położyć... i ja z tobą... i będziemy słuchali... bo ja, bracie, nie wiem jeszcze... ja, bracie, jeszcze wszystkiego nie wiem teraz...

MYSZKIN: Te dwie kosteczki, dwa punkty pod oczami, tu gdzie zaczynają się policzki... jej twarzy... ja się boję!

ROGOŻYN: A okna, widzisz, boję się otworzyć, no i z tego, ma się rozumieć ten fetor... W mieszkaniu matki są kwiaty w doniczkach, dużo kwiatów, z pięknym zapachem, myślałem żeby przynieść... chyba, żeby kupić kilka bukietów i całą obłożyć kwiatami? Zdaje mi się, bracie, że smutno jej będzie w kwiatach...

MYSZKIN: Czymżeś ty ją? Nożem? Tym samym?

ROGOŻYN: Tym samym. Ten nóż zawsze leżał w książce... I właśnie, co mnie jeszcze dziwi: tak, można powiedzieć, jakby na półtora werszka... wszedł ten nóż... w samiotką lewą pierś... a krwi, można powiedzieć, najwyżej z pół stołowej łyżki wyciekło na koszulę, więcej nie było...

dzie teraz za tego dobrego człowieka, który panią tak kocha i który zrobił pani zaszczyt ofiarowując swoją rękę? Sprawa aż nazbyt jasna dlaczego: jeśli pani wyjdzie za niego jakąż wtedy pozostanie krzywdą? Pani jest egzaltowana książkami... i nie lubi pani pracy.

NASTASJA: A pani lubi pracę?

AGŁAJA: Jak pani śmie w ten sposób zwracać się do mnie?

NASTASJA: Pani się zapewne przesłyszała. Jakże ja się do pani zwróciłam?

AGŁAJA: Jeżeli pani chciała być uczciwą kobietą, to dlaczego nie rzuciła pani wtedy swego pierwszego opiekuna Tockiego, po prostu... bez widowisk teatralnych?

NASTASJA: Cóż pani wie o moim położeniu, żeby ośmielać się mnie sądzić?

AGŁAJA: Zachciało się uczciwości, to można było zostać praczką.

MYSZKIN: Agłajo, proszę się opamiętać! To niesprawiedliwe!

NASTASJA: Patrzcie na nią - na tę wytworną panienkę! A ja ją miałam za anioła! Przyszła pani do mnie bez guwernantki? A chce pani... to pani powiem od razu: prosto w oczy, po co się pani do mnie fatygowała. Złękła się pani i dlatego przyszła.

AGŁAJA: Pani się złękłam?

NASTASJA: Oczywiście, że mnie! I pomyśleć tylko, że ja ją szanowałam, nawet do ostatniej chwili! A wie pani dlaczego pani teraz się mnie boi? Pani chciała się przekonać: czy on więcej mnie kocha, czy panią. Pani jest okropnie zazdrosna...

AGŁAJA: On mi już powiedział, że nienawidzi pani...

NASTASJA: Bardzo możliwe, bardzo możliwe, ja go przecie nie jestem warta, ale... zdaje mi się, że pani skłamała! On mnie nie może nienawidzić i nie mógł tak powiedzieć. Lepiej jednak o pani myślałam: myślałam, że pani jest i mądrzejsza, i lepszy ma charakter, daję słowo!...

MYSZKIN: To, to, to! Ja wiem, to się nazywa wylew wewnętrzny. Czasami ani jednej kropli nie ma. Wtedy, jeżeli trafić prosto w serce...

ROGOŻYN: Czekaaj, słyszysz? Słyszysz?

MYSZKIN: Nie.

ROGOŻYN: Ktoś chodzi! Słyszysz?

MYSZKIN: Słyszę.

ROGOŻYN: Chodzi?

MYSZKIN: Chodzi...

